

87-100 Terpol, ul. Andrzeja 23, tel. 060 50 65 22 186  
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl  
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736  
KRS 00000 41692  
Nr r-ku 82 1090 1500 0000 0000 5002 0244

MEMORIAL  
Generał Marii Wittek



(Klona)

Kpt. GWIAZDŃ-Brodzka Maria Zofia  
z d. Gwiazdź  
ps. "Sosna"

AK  
Wzrost  
Pawł.  
PSK  
Wzrost.

4020/WBK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — GWIAZDOWI - Brodzka.....

T: 4020 / WSK

..... Maria Zofia z d. Gwiazdow

..... ps. „Zosia”

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 – relacja właściwa

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora ✓ k. 2, s. 1-2

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

**II. Materiały uzupełniające relację** ✓ k. 20, s. 1-20

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):**

III/1 – dot. rodziny relatora

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945)

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – Inne...

**IV. Korespondencja**

.....  
.....  
.....  
.....

**V. Wyplisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”)**

✓ ksero  
pkt. II s. 1, 2, 5, 6, 9

## I 12 Dokumenty (sensu stricto) dot. relatora

- Patent nr 17526 nadający prawo do tytułu "Veteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny", Warszawa 2001r., Ksero, k.1 s.1
- Mianowanie por. nie podl. ob. d. wojak. Marii Guizardot - Brodka c. ułama na stopień Kapitanca z dn. 11.04.2002r. / Warszawa 08.2001r., Ksero, k.1 s.2



PATENT Nr 17526

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej  
potwierdza się, że

**Pani BRODZKA MARIA**

w latach walki zbrojnej z najeźdźcami  
z honorem pełniła żołnierską powinność  
i uzyskała prawo do zaszczytnego tytułu:

*Weteran Walk o Wolność i Niepodległość  
Ojczyzny*

KIEROWNIK  
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRERSONOWANYCH

PREZES  
RADY MINISTRÓW  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

*Hajm*

Warszawa, 2001 r.

*Stojanek*



BOG HONOR OJCZYZNA

1/2/2



SIŁY ZBROJNE  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

**mianował**

nie będącą w czynnej służbie wojskowej

*por. nie podl.ob.sł.wojsk. Marię GWIAZDOŃ-BRODZKA c. Adama*

**na stopień**

**KAPITANA**

z dniem ..... *11 lipca 2002 r.* .....



DYREKTOR  
DEPARTAMENTU KADR  
I SZKOLNICTWA WOJSKOWEGO MON

gen. bryg. Zbigniew JABŁOŃSKI

*Warszawa, sierpień 2001 r.*  
(data)

#### 4 Materiały uzupełniające relację

- Dwie potówki jabłka - Maria i Stanisław Brodzcy pod red. A. Tabieniec „Dziennik” 18-20-01. 2002, k. 4, s. 1-4
- Maria Zofia Brodzka - biogram, [b.d.], nps, kopia, k. 1, s. 5
- M. Gwiżdżoń - Brodzka, Moje spotkanie z WAAF'em, [b.d.], nps, kopia, k. 3, s. 6-8
- Maria Brodzka, Trzy drogi [b.d.], nps, kopia, k. 2, s. 9-10
- Maria Brodzka, My z Anną Kwajawej, [b.d.], nps, kopia, k. 10, s. 11-19, przystąpiła E. Konopka 2006



# Cały ten kram

pod redakcją Anny Łabieniec

Dwie potówki jabłka

## Maria i Stanisław Brodzcy



Stanisław Brodzki:

Urodziłem się w Płocku 3 listopada 1920 roku jako młodszy syn Apolonii i Leona. Mama była ty-pową panią domu, odznaczała się wielką dobrocią i oddaniem rodzinie. Pochodziła spod Warszawy. Miała chyba ośmioro rodzeństwa, które rozsiało się w dorostym życiu po całej Polsce. W dziecinie i w młodości przeżyłem



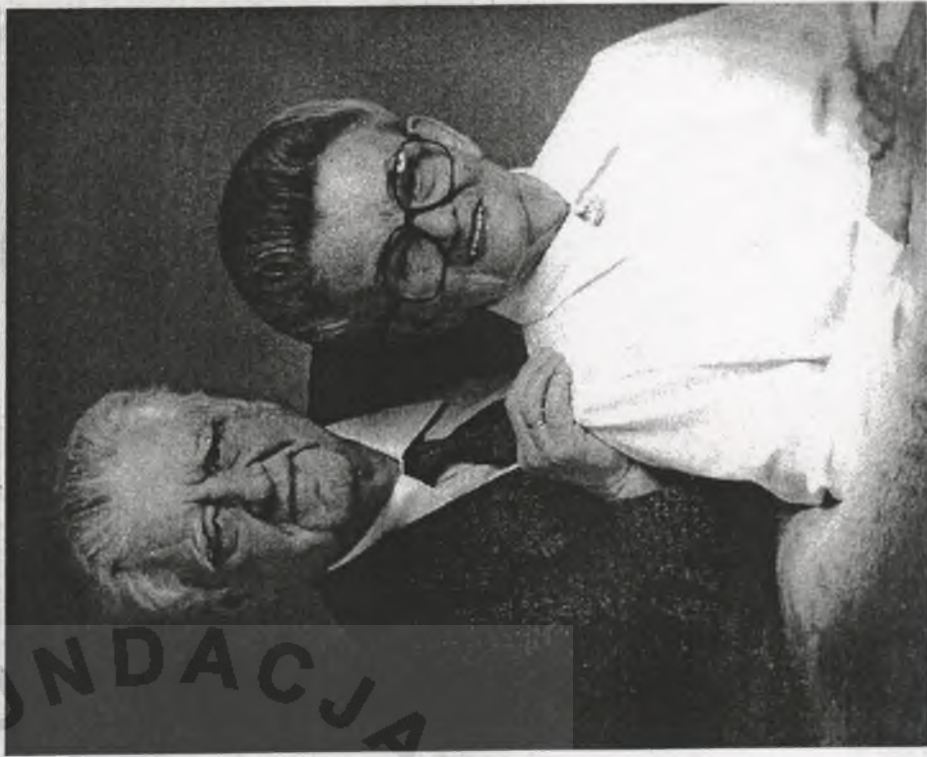
festiwali chórów w Amsterdamie wykonali słynny utwór Lachmana "Polskie szlądziary na Krem-lu", który oddawał tryumf polskiej potęgi z czasów Stefana Ba-torego i który był entuzjastycznie przyjęty.

W 1910 roku ojciec zamieszkał w Płocku, gdzie był dyrektorem monopolu spirytusowego. Ro-



Ślub w Londynie

ta, który był oficerem zawodowym artylerii. Co dzień przypro-wadzał pod kamienicę, w której mieszka-liśmy wierzchowca dla brata, czyścił mu mundur. Jego pojawie-nie się na podwórku elektryzowa-ło wszystkie panny, gdyż był nie-



1-2

niejszycowac' by-  
koscia poznali w  
w 1946 roku Anglii, tam  
gdzie mama pracowa  
ła

śmy nie pojechali, to mamy tam  
ciocie, albo wujka.

Ojciec był jedynakiem, urodzo-  
nym z rodziców Polaków osia-  
dłych w ziemi kijowskiej. Były  
tam wielkie majątki o wspaniałych  
polskich tradycjach. Rodzina, z  
której pochodził ojciec wydała kil-  
ku znanych artystów i naukow-  
ców. Do najslawniejszych nale-  
żał Chevalier Eugeniusz Brodzki  
zmarły w 1841 r, który wniósł  
ogromny, około 20 tys. egzempla-  
rzy liczący zbiór bibliofilski do Za-  
kładu Narodowego im. Ossolin-  
skich. Znajdowały się w nim bez-  
cenne inkunabuły i starodruki. Za-  
pisał też znaczny spadek na rzecz  
utrzymania księgozbioru. Drugim  
był Wiktor Brodzki zmarły w 1904  
r. rzeźbiarz, który tworzył we Wło-  
szach i pozostawił po sobie mię-  
dzy innymi popiersia papieży, któ-  
re do tej pory są na Watykanie.  
Mój ojciec chodził do szkół w  
Odessie i Kijowie, a uniwersytet  
skończył w Moskwie. Był Ruso-  
filem, była to jego druga ojczy-  
zna, całe dzieciństwo w młodość  
tam spędził. Ale czuł się oczywi-  
ście Polakiem. Był oficerem car-  
skiej artylerii i 1895 r. pojechał  
na wojnę rosyjsko-japońską do  
Władywostoku. Jego pułk jechał  
na front koleją wąskotorową pra-  
wie rok, tak, że gdy zajęchali, woj-  
na była już skończona. Jestem na  
siebie zły, że wówczas, jako mło-  
dy chłopak, nie bardzo intereso-  
wałem się historią i nie pytałem  
ojca o jego wspomnienia, to co  
wiem podслуhtałem z jego roz-  
mów ze starszymi. Sporo dowie-  
działem się od starszego o sześć  
lat brata Jurka. Ojciec obdarzony  
pięknym barytonem śpiewał w  
słynnym chórze Lachmana, któ-  
ry koncertował między innymi na  
zebraniu fundusów na Polską Ma-  
cier Szkolną - polskie szkolnic-  
two pod zaborem rosyjskim. Na

pak tak przywiązał się do moje-  
go brata i naszej rodziny, że w cza-  
sie wielkiego głodu podczas woj-  
ny, gdy brat i ja byliśmy w nie-  
woli, przynosił moim chorym ro-  
dzicom żywność. Po dziś dzień,  
on i jego dzieci dbają o grób mo-  
ich rodziców w Płocku.

Po otrzymaniu matury zostałem  
powołany na Junacki Obóz Pra-  
cy w Osowcu. Tam zastała mnie  
wojna. Całe życie wyrzucam so-  
bie, że wyniosłem z domu tak wie-  
le, a nigdy nie miałem możliwo-  
ści odplacić rodzicom za całą mi-  
łość i moje wspaniałe dzieciństwo.  
Rodzinny dom w Płocku opuści-  
łem zdawałoby się na dwa tygo-  
dnie. Nigdy już do domu nie da-  
ne mi było wrócić i nigdy już nie  
zobaczyłem rodziców.

Przydzielono nas do Szkoły  
Podchorążych w Lidzie. Brałiśmy  
udział w walkach pod Grodnem.  
Wraz z innymi oddziałami prze-  
kroczyliśmy granicę litewską i zo-  
staliliśmy tam internowani. Osadzo-  
no nas w obozach jenieckich w  
Olicie, potem Wilkomierzu i Wil-  
kowskach. W obozie jeden z na-  
szych współwięźniów, utalento-  
wany muzyk stworzył w warun-  
kach obozowych skromną orkie-  
strę symfoniczną. Ponieważ sam  
był pianistą wykonał koncert  
fortepianowy Mozarta. Jakim  
przeżyłiem dla nas więźniów, od  
dwóch lat odciętych od wszelkiej  
kultury, było słuchanie tego kon-  
certu - łatwo sobie wyobrazić. Do  
końca życia nie zapomnę tej  
chwili, ani przewodniego moty-  
wu muzycznego. Nie wiedziałem  
jakim numerem oznaczony był ów  
koncert, ani z którego opusu po-  
chodził, dopiero gdy po wojennej  
turalczce dotarłem do Toronto po-  
szedłem do wielkiego sklepu mu-  
zycznego i powiedzialem sprze-  
dawcy, że chcę kupić płytę z kon-  
certem Mozarta i zanucilem mu



motyw przewodni. Chwilę potem  
trzymałem płytę w ręku. Nie spo-  
sób się w tym utworze nie zako-  
chać. Ta melodia idzie za mną ca-  
łe życie.

Po zajęciu Litwy przez Rosjan  
przewieziono nas (trzy tysiące  
podoficerów i żołnierzy) na teren  
ZSSR do obozu Juchnowo, gdzie  
poddawano nas bezustannemu  
"praniu mózgu" zmuszano do  
udziału w wykładach propagan-  
dowych, musieliśmy codziennie  
oglądać agitujące filmy. To wszy-  
stko miało nas skłonić do wstą-  
pienia w szeregi Armii Czerwo-  
nej. Wielu więźniów nie wytrzy-  
mało tej presji i popelnilo samo-  
bójstwa. W sumie zgłosiło zamiar  
wstąpienia 19 więźniów, co nie by-  
ło wynikiem imponującym. W  
końcu trafiliśmy na półwysp  
Kola gdzie musieliśmy pracować  
przy budowie lotniska. Po utwo-  
rzeniu Armii Polskiej na terenie  
ZSRR wstąpiłem do wojska do 5-  
tej Kresowej Dywizji Piechoty.  
Zostałem odkomenderowany do  
Dywizyjnej Szkoły Podchorą-  
żych. Potem moja droga wiodła  
przez Uzbekistan, Persję, Irak, i  
w końcu trafilem do Anglii, gdzie  
w lutym 1943 r. wstąpiłem do Pol-  
skiej Marynarki Wojennej. Pływa-  
łem na: "Burzy", "ORP Conrad",  
i na legendarnym okręcie "ORP



Piorun". Skończyła się wojna i nas  
młodych ludzi rozrzucono po  
Europie ogamela przemożna chęć  
odnalezienia rodziny i przyjaciół.  
Gazety zaczęliśmy więc czytać  
od ostatniej strony: od ogłoszeń.  
Pewnego dnia znalazłem ogłosze-  
nie: "Lusia Kornatowska poszu-  
kuje narzeczonego i przyjaciół  
szkolnych." Nie wierzyłem wła-  
snym oczom: Lusia, moja ulubio-  
na koleżanka z Płocka! Umówi-  
liśmy się na wycieczkę do Rich-  
mond Park. Pojechalismy tam pię-  
trowym londyńskim autobusem.  
Zjedliśmy obiad i popijaliśmy do-  
brą wódkę nad Tamizą. Lusia  
przyprowadziła ze sobą dwie ser-



W drodze do Kanady



była właśnie Marysia Gwiazdoń — moja przyszła żona. "Myszka" małeńka, szczuplutka i delikatna, wyzwałała uczucia opiekuńcze. Szybko jednak zorientowałem się, że ta drobna istota to silna duchem, odważna kobieta, o szerokich horyzontach i wielka osobowość. Nasza przyjaźń z trzema dziewczynami trwała przez jakiś czas. Nie wyróżniałem żadnej z nich. Gdy wracał mi z koleżankami z rejsów przywoziłyśmy wszystkim trzem prezenty: jednakowe parasolki, szminki lub obiekty szczególnego pożądanego młodych dam — nylonowe potyczochy, dzięki którym dziewczyny nie musiały już sobie malować na tydkach linii imitujących szywy. Nasza przyjaźń zamieniła się z czasem w miłość. Najbardziej ceniłem w Marysi serdeczność i uczciwość. Pobraliśmy się w uroczystości w Londynie 7 kwietnia 1957 r. Poza nami w ślubie i weselu uczestniczyły trzy pary składające się z naszego rodzeństwa i przyjaciół. Kupiłem żonie piękny bukiet żółtych róż. Do ślubu udaliśmy się metrem. Nastrój mieliśmy wspaniały i bezustannie żartowaliśmy: na przykład ja udawałem, że opieram się przed wejściem do kościoła, jakbym się rozmyślił co do ślubu w ostatniej chwili i koledzy wciągali mnie siłą. Potem kolejnym powodem ogólnej wesołości stały się moje nowiutkie błyszczące zelówki na butach, które ukazały się w stanie dziewczynym kolegom stojącym za mną, gdy uklękłem przy ołtarzu. I tak przez cały czas. W końcu ksiądz zaczął nas podejrzywać, że jesteśmy na rauszu i był na nas trochę zły. A myśmy po prostu byli w szampańskim humorze. Wesela odbyło się w naszym pierwszym wspólnym mieszkaniu —

SAHILI. LU SZAKUJ CIUKUZIAM OO  
Sióstr Nazaretanek w Warszawie. Skończyłam państwowe gimnazjum. Studia na wydziale prawa przerwała wojna. Bez wiedzy rodziców wstąpiłam w szeregi Armii Krajowej. Skończyłam konspiracyjną szkołę podchorążych. Gdy wybuchło powstanie pełniłam obowiązki komendantki łączniczki i sanitariuszek w batalionie Chrobry I dowodzonym przez majora "Sosnę" Gustawa Billewicza. Brałam udział w obronie Placu Simonasa i Sądów na Placu Krasynskich. W czasie walk Dworzec Główny zostałam ranna w twarz. Nie ma o czym mówić: została mi po tym małułka szrama koło ust, straciłam kulkę zębów. Zostałam odznaczona przez dowódcę powstania gen. Bora-Komorowskiego "Krzyżem Walecznych po raz pierwszy". Przeszłam przez niewolę niemiecką, przez cztery obozy jenieckie. Wyzwoliła nas w kwietniu 1945 r. I-sza dywizja gen. Maczka. Zostałam powołana do pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet i po przeszkoleniu znalazłam się w Londynie, gdzie przydzielono mnie do Dowództwa Lotnictwa Polskiego. Stasia poznałam przez moją koleżankę Lusię. Były to piękne czasy. My, młodzi, którzy ocaliliśmy po przejściach wojennych cieszyliśmy się życiem. Choć czasy były ciężkie, życie trudne, a warunki więcej niż skromne, czuliśmy, że świat do nas należy. Potrafilimy się cieszyć byle czym. Był to okres spotkań w gronie polskiej młodzieży, wspólnych żartów, wycieczek. Z czasem z naszego grona zaczęłam wyróżniać Stasia, doceniając przy tym jego charakter. Z czasem zbliżyliśmy się do siebie i stwierdziliśmy, że chcemy resztę życia spędzić razem. Nigdy nie załowałam



Na Watykanie z Papieżem Janem Pawłem II



Otwarcie Konferencji "Polonia 70"

chodziliśmy z pracy, jedliśmy obiad i każde biegło do pracy społecznej. Albo biegliśmy razem. Nasz syn nigdy nie miał nam tego za złe. A nawet sam się naszą pasją zaraził. Przywykł do tego, że to normalne i że tak powinno być. Choć urodził się w Anglii, a wychował w Kanadzie, czuje się Polakiem, po polsku mówi tak samo dobrze jak my.

**S.B:** Ludzie często nas pytają jak udało się nam pogodzić życie rodzinne z pracą zawodową i społeczną. Jeden mój znajomy twierdzi, że podstawową powinnością człowieka jest wywiązywanie się z obowiązków rodzinnych, potem z zawodowych, tak aby zapewnić bezpieczny byt rodzinie, potem trzeba się samemu rozwijać, a dopiero na końcu jest miejsce na pracę społeczną, jeśli na nią starczy czasu. I ja się z nim zgadzam. Jeśli praca społeczna narusza tę hierarchię to jest źle i nic dobrego z niej nie wyniknie. Cieszymy się, że nam udało się te elementy pogodzić i nie naruszyć równowagi.

Od 1985 roku jestem na emeryturze. 37 lat pracowałem w firmie lotniczej De Havilland Aircraft of Canada z czego ostatnich siedemnaście lat w dziale komputerów. Przeszliśmy całą drogę od najprostszyc i prymitywnych komputerów, których obsługa wymagała karkołomnych ewolucji i całodobowej gotowości po zmieniające się i dynamicznie rozwijające urzędzenia. Praca ta wymagała ciągłego dokształcania, śledzenia nowości, miałem też bezustanne poczucie, że pozostaje w tyle. Ciągłe byłem w pogoni. Dostrzegłem, że prowadziłem do ślepego zaułka. Powiedziałem sobie: stop! Nie chciałem tkwić w tym do końca życia. W domu nie mam komputera. Nie korzystam z poczty elektronicznej. Nie mam

pokładka w majęty 111 w domu Pa-  
laków, państwa Krzyżów. Stwier-  
dził mi jednośnienie, że głów-  
nym weselnym daniem musi być  
barszcz. Dziewczyny ugotowały  
go więc w wielkiej miednicy na  
palenisku gazowego kominka  
(kuchni nie mieliśmy). Jednak ze-  
stawiając ją wypaliły ogromną  
dziurę w dywanie. Był to powód  
jedynie do kolejnej wesołości: nikt  
nie myślał wrywać sobie włosów  
z głowy - po prostu ukryliśmy  
dziurę stawiając na niej fotel. Na  
tę imprezę wydaliliśmy wszystkie  
nasze oszczędności.

Zastanawialiśmy się czy wracać  
do kraju, ale moja żyjca jeszcze  
wtedy mama zdecydowanie nam  
to odradziła. Dostałem stypendium  
i zacząłem studiować na londyń-  
skiej Northern Polytechnic. Żeby  
utrzymać rodzinę pracowałem  
wieczorami jako pomywacz w re-  
stauracji, jako portier na stacji ko-  
lejowej i przy sortowaniu poczty.  
Marysia skończyła kurs kroju i  
szycia kostiumów. Miała wcze-  
śniej możliwość ukończenia stu-  
diów prawniczych, ale nie otrzy-  
mała wówczas zwolnienia z armii  
i ta możliwość już się nie powtó-  
rzyła. Nasza sytuacja na chwile sta-  
ła się nieciekawą, gdy właścicie-  
le domu, w którym mieszkaliśmy,  
na wieść, że spodziewamy się  
dziecka wymówili nam mieszka-  
nie. Z wielkim trudem znaleźliśmy  
następne lokum i na świat przy-  
szedł nasz jedyny syn Marek. Od  
pierwszej chwili życia, aż po dziś  
dzień jest naszą największą rado-  
ścią.

**Maria Brodzka z domu Gwia-  
zdon:**

Urodziłam się w Wasylkow-  
cach w województwie tarnopol-

skiej uuczyni. Mąż był i jest dla  
mnie wszystkim. W tamtym cza-  
sie był nie tylko przystojnym mło-  
dym chłopakiem, ale szybko ujaw-  
niło się wspaniałe wychowanie, ja-  
kie wyniósł z rodzinnego domu,  
talent organizacyjny, odpowie-  
dzialność, wytrwałość i wielki pa-  
tryotyzm, który bardzo sobie ce-  
nię. Szybko zrozumiiałam, że te-  
mu człowiekowi mogę śmiało po-  
wierzyć mój los. Najpiękniejszą  
chwilą w naszym wspólnym ży-  
ciu były narodziny syna Marka.  
Był ślicznym chłopczykiem z  
długimi, kręconymi włosami, któ-  
rego często czesałam jak dziew-  
czynkę. Szylałam mu piękne mary-  
narskie ubranka. Robiliśmy mu  
masę zdjęć. Był kochanym dziec-  
kiem. Pozostał jedynym, aż do  
chwili gdy przybyła nam córka -  
nasza synowa Barbara. Naszym  
największym osiągnięciem jest to,  
że mamy w nim nie tylko syna,  
ale także przyjaciela. Odbarzył nas  
wnukiem - w tej chwili 26-let-  
nim Alexem.

W 1952 roku podjęliśmy decy-  
zję, że nie wracamy do Polski, ale  
emigrujemy do Kanady. 17 maja  
w 1952 roku, po przepłynięciu  
Atlantyku wylądowaliśmy w Quo-  
becu. Zamieszkaliliśmy w Toron-  
to.

Podjęłam pracę w firmie "Sim-  
pson Sears" w biurze zakupów i  
dodatkowo administrowałam po-  
lonojną gazetę "Głos Polski".  
Z czasem zaczęłam prowadzić ko-  
lumnę "Przegląd wydarzeń polo-  
nijnych", została też dyrektorem  
"Canadian Ethnic Press Assn.",  
oraz "Canadian Ethnic Press Fe-  
deration". Większość mojego ży-  
cia w Kanadzie poświęciłam pra-  
cy społecznej. Byłam prezeską Ko-



Wręczenie dotacji — z Jerzym Gledyrciem w Paryżu

Wiczezielskiego szkoły polskiej  
im. A. Mickiewicza, pracowałam  
w Zarządzie Głównym Związku  
Narodowego Polskiego i Zarzą-  
dzie Głównym Kongresu Polonii  
Kanadyjskiej, gdzie przez wiele  
lat redagowałam "Biuletyn Infor-  
macyjny". Od przyjazdu do Ka-  
nady wraz z mężem i synem dzia-  
laliśmy aktywnie w harcerstwie,  
między innymi budując stanicę  
harcerską na ontaryjskich Kaszu-  
bach.

**S. B.:** Przeżyliśmy wspólnie 55  
lat. To spory kawał czasu. Często  
się zastanawiamy: dlaczego tak  
nam się dobrze układa w małżeń-  
stwie? Nie ma chyba na to niezau-  
wodnej recepty, ale niezbędna jest  
do tego miłość i kompromis.  
Sztuka kompromisu przychodzi po  
latach doświadczeń.

**M. B.:** Małżeństwo nie jest rze-  
czą łatwą ani prostą. Nigdy się ze  
sobą nie nudziłam, może dlatego,  
że zawsze mieliśmy pełne rę-  
ce roboty. Mąż pracował przez la-  
ta jako przewodniczący Komisji  
Rewizyjnej i dyrektor Funduszu

nawet automatycznej sekretarki.  
I dobrze mi z tym. Wolę obcować  
z żywymi ludźmi. Wycofałem się  
też przed kilku laty z funkcji, któ-  
re pełniłem społecznie. Trzeba  
wiedzieć, kiedy odejść.

**M. B.:** Teraz jest czas na odpo-  
czynek, na wspólne, spokojne ży-  
cie. Dużo czytamy, oglądamy  
programy historyczne. Oczywiście  
spotykamy się z rodziną i przyja-  
ciółmi. Oni obserwując nas żar-  
tują, że gruchamy jak para nowo-  
żeńców; mówię do żony: Myszko,  
mateniko, trzymamy się za ręce.  
Kiedy jedno z nas wychodzi na  
chwile do sklepu, albo choćby do  
drugiego pokoju żegnamy się  
czule jakbyśmy wyjeżdżali na ko-  
niec świata. Potem znowu się w  
ten sposób witamy. My nie umie-  
my inaczej. Tak po prostu musi  
być, choćby działo się nie wiem  
co.

**S. B.:** Czy to znaczy, że po 55  
latach spędzonych razem kocha-  
my się tak samo? Nie wiem. Ale  
nigdy się nie rozstaliśmy. Naszą  
największą pasją jest nasz letni do-  
m na Kaszubach. Wszyscy na-  
si przyjaciele dawno kupili ziemię  
i pobudowali domy, ja jednak cią-  
gle byłem zbyt pochłonięty budo-  
wą harcerskiej stacji, żeby brać  
sobie na głowę kolejny kłopot. Aż  
wreszcie zrozumiiałem, że pora  
znaleźć swoje miejsce na ziemi.

**M. B.:** Pięknie jest tam u nas. To  
dom w szczyrim lesie, palimy w  
kominku, na ścianach wiszą tro-  
fea myśliwskie: skóra bobra, ro-  
gi jelenia, na podłodze leży skó-  
ra z niedźwiedzia.

**S. B.:** Ale nie tego, od urwane-  
go kołnierza z płockiego jarmar-  
ku...

Opracowała A. Tabieniec



## ***Maria Zofia BRODZKA***

---

Prawnik, statystyk.

urodzona 19 grudnia 1919 r. w Wasylkowicach; zamężna, syn.

1939: ukończony III rok Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Do 1944 pracownik wydziału prawnego w firmie Philips i w „Warszawskim Towarzystwie Akceptacyjnym”. Żołnierz AK, w czasie Powstania Warszawskiego komendantka łączniczek i samitariuszek w oddziale Chrobry I (pseudonim Sosna). Ranna, odznaczona Krzyżem Walecznych przez gen. Bora-Komorowskiego. Po upadku powstania jeniec wojenny w obozach niemieckich Lamsdorf, Mulberg, Oberlangen. Uwolniona przez I Dywizję gen. Maczka i przewieziona do Wlk. Brytanii. Zweryfikowana w Stowarzyszeniu AK w Londynie w stopniu porucznika, wstępuje do Polskiej Lotniczej Służby Kobiet.

W Kanadzie od 1952 r. Studiuje w Ryerson Institute, pracując jako statystyk w firmie Simpson i Simpson-Sears. 1954-1957: przewodnicząca Koła Rodzicielskiego przy szkole im A. Mickiewicza. 1958-1968: administrator tygodnika Głos Polski-Gazeta Polska. 1964-1971: powołana przez ministra oświaty na członka Board of Governors George Brown Community College. Jeden z założycieli Ethnic Press Association of Ontario i jego wieloletni dyrektor. Działacz społeczny Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Od 1968 przewodnicząca Komisji Etnicznej i długoletni redaktor Biuletynu KPK. Sekretarz Konferencji Polonia 75 w Waszyngtonie i Zjazdu Polonii Polonia 78 - Polonia Jutra w Toronto. Wieloletni sekretarz i kurator Fundacji Adama Mickiewicza. Członek Związku Narodowego Polskiego. Od 1981 r. wiceprezes Zarządu Głównego i członek Dyrekcji Prasowej Głosu Polskiego. 1983: opracowuje książkowe wydanie Historii ZNP w Kanadzie. Do 1990 członek Rady Dyrektorów Copernicus Lodge. Wieloletni sekretarz i członek Zarządu Koła Stowarzyszenia Lotników Polskich - Skrzydło 430 Warszawa. Uhonorowana wieloma wyróżnieniami społecznymi. Hobby: literatura, historia.

Dom: 603-41 Lakeshore Dr., Toronto, Ontario M8V 1Z3, tel.: (416) 251-8182.

# Moje spotkanie z WAAF'em

Maj 1945 roku — Oberlangen, Emsland — Niemcy.

Do uwolnionego obozu jenieckiego Kobiet-Żołnierzy Armii Krajowej (przez I Korpus gen. Maczka wraz z Korpusem Kanadyjskim) — przyjechała komendantka PLSK, WAAF (Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet) — mjr. Halina Paszkiewiczowa wraz z kpt. D. Gaworską i kpt. dr. Chmurą.

Dowiadujemy się, że mają z 1.700 b. jeńców wojennych kobiet wybrać 90 dziewcząt, do istniejącej od 1943 roku, przy boku Lotnictwa Polskiego, Pomocniczej Służby Kobiet.

Jest pewnego rodzaju zamieszanie. Każda chce jechać.

Komisja stawia warunek. Rekrutacji podlegają jedynie te dziewczęta, które mają zaczęte studia uniwersyteckie.

— • —

Po gorączce reumatycznej, wycieńczona snuję się po obozie o lasce jak cień. Jestem wpisana w stan chorych i naturalnie jako taka nie podlegam rekrutacji, choć do ukończenia studiów prawniczych nie wiele mi brakuje. Komisję rekrutacyjną widuję z daleka. Nie zgłaszam się bo przecież jako chora nie mam żadnych szans.

Po kilkudniowym pobycie, Panie wyjeżdżają. Fodobno listy już są zrobione.

Spokojnie pod opieką kanadyjskiego lekarza dochodzę do zdrowia. Mijają tygodnie. Cały obóz za wyjątkiem szpitala przenosi się do Niederlangen. Ja razem ze swoimi koleżankami z sali szpitalnej pozostajemy w Oberlangen.

— • —

Jest śliczna wiosna. Okoliczne bagna pokrywają się kaczeńcami.

Ze względu na szerzące się wypadki zastrzeleń dziewcząt, przez ukrywających się po okolicznych lasach Niemców — wychodzi rozkaz nie oddalania się od obozu. Chodzimy więc na spacer po obozie i po szosie przed obozem.

Jest 1 czerwca. Spacerujemy z Nolly po szosie, wracając wspomnieniami do chwil przeżytych w Warszawie w okresie 63 dni, to znaczy do dni Powstania Warszawskiego. Zatopione w rozmowie nie słyszymy nadjeżdżającego samochodu, dopiero klakson ciężarówki otrzeźwia nas. Schodzimy z drogi. Mija nas na dużej szybkości samochód ciężarowy ze znakami lotniczymi wypełniony po brzegi rozśpiewanymi dziewczętami.



Z Armii Krajowej do W.A.A.F.'u

Nolly mówi — "Jadą do Anglii" — "Szczęśliwie" — odpowiadam.

Wtem przy nas zatrzymuje się "jeep" — widzimy przy kierownicy kpt. Jerzego Łętowskiego, który opiekował się naszym szpitalem, oraz nasze dwie koleżanki z tej samej sali.

Słyszę głos Krysi — Myszka i Nolly wsiadajcie.

Nie wiedząc o co chodzi wsiadamy obie z Nolly. Kapitan Łętowski tłumaczy nam, że prowadzi transport Akaczek do WAAF'u, że są jeszcze dwa wolne miejsca — zapytuje czy decydujemy się jechać razem z nimi, tak jak stoimy, gdyż nie ma na nic czasu. Bez zastanowienia się zostajemy w "jeepie" — pozostawiając poza sobą — ja jedynie sweter, a Nolly torbę sanitarną. Mamy jednak obiekcje, że nie zawiadomiliśmy Komendy Szpitala — Kapitan Łętowski obiecuje, że po powrocie z Holandii, gdyż tam właśnie jedziemy, zawiadomi szpital, że wyjechałyśmy do WAAF'u do Anglii. Przecież to wszystko wyglądało na jakiś zupełnie nieprawdopodobny film.



Od lewej siedzą: — Dziuńka Kulczyńska, Maryna Woroniecka - Grabowska, Myszka Gwiazdoń-Brodzka, stoją: — Lusja Kornatowska i Lena Kolanowska-Katelbachowa.

Wilmslow.

Malownicze miasteczko angielskie w pobliżu Manchesteru — stacja trenigowa lotnicza.

Zmierzone nas, ważono, wykąpane — zostajemy w dwie godziny umundurowane. I tu tragedia — nie poznajemy się wzajemnie. Każda dla nas wygląda jednakowo. Zakwaterowano nas w trzech barakach. Oprócz nas odbywa się jednocześnie kurs Angielek.

Dla nas zaczął się intensywny trening trwający 6 tygodni. Oj dali nam tam w kość dali. Wyszłyśmy jednak z Wilmslow zdyscyplinowanym wojskiem — na jakie czekały stacje lotnicze. Wojna jeszcze przecież się nie skończyła i nikt nie wie — kiedy będzie jej koniec.

Jak już powiedziałam, że razem z nami na treningu były też Angielki. My wszystkie zachwycone możliwością kąpeli — używałyśmy wody i mydła tyle, co cztery kursy angielskie w ciągu ca-

Ja jadę do Anglii w bryczesach i wysokich butach, Nolly jeszcze lepiej bo na wysokich obcasach. Siedzimy obie cicho.

Jedziemy przez kraj zniszczony akcją wojenną. Gdziegdzie dymią jeszcze pogorzelańska zabudowań niemieckich.

Zbliżamy się do granicy holendersko-niemieckiej.

Jadąca przed nami ciężarówka na dużej szybkości przebija założony szlaban graniczny. My "jak w dym" przejeżdżamy za ciężarówką i już jesteśmy na ziemi holenderskiej. Nikt za nami nie krzyczy, nie strzela.

Kraj jest zupełnie płaski — poprzecinany tylko kanałami, które jak wstęgi rzucone na kobierzec pól tulipanowych, wyglądają jak bajka kolorowa. Gdzie niedzie widać wiatraki. Krajobraz przypomina mi "niebieską porcelanę kopenhaską". W powietrzu unosi się specyficzny zapach tulipanów i hiacyntów.

Po kilkugodzinnej podróży przyjeżdżamy do małego, czystego miasteczka Enskedee.

To jest nasz punkt w którym mamy przejść bardzo szczegółowe badania lekarskie do lotnictwa.

W Enskedee przebywamy do dnia 24 czerwca. W dniu 21 czerwca przylatuje znowu p. Paszkiewiczowa z dr. Chmurą i lekarką Angielką. Obie lekarki w czasie badania odrzucają 6 dziewcząt.

Jest mi niezmiernie przykro, gdyż pomiędzy tymi sześcioma są nasze dwie przyjaciółki, Kryśka i Irena, które umożliwiły nasze "porwanie z obozu".

Po trzech dniach, dwoma Dakotami zostajemy przetransportowane do Londynu, Anglia.

Nie zapomnę mojego pierwszego lotu samolotem wśród szalejącej burzy z piorunami ponad Skategakiem. Miałam duszę na ramieniu, ale nie przyznawałam się do tego i nadrabiałam miną jak mogłam, bo przecież leciałam do lotnictwa.

Przyleciałyśmy na lotnisko Croydon, skąd samochodami już WAAF'u angielskiego zostałyśmy przewiezione na jakiś punkt, którego nigdy potem nie udało mi się umiejscowić.

Po śniadaniu zapakowano nas do pociągu na stacji Euston i dalej w drogę do Wilmslow. Na Euston Station Anglicy oglądali się za nami — a widząc nas roześmiane, szczęśliwe, ubrane jak na maskaradę w wielorakie "stroiki" — pewnie myśleli, że przewożą gdzieś dalej w świat "dom wariatów".

Nic to, że tak sobie myśleli — my byłyśmy szczęśliwe.

ostatnia siedzi do Nolly Kubiśka

tego roku (tak nam potem powiedziały służbowe sierżantki na zakończenie kursu).

Z niedowierzaniem patrzyłam się na Angielki, które rano myły się w płaszczach, wycierając twarze jedynie "myjkami" — każda z nas chlapała się i zmieniała wiele razy w tygodniu bieliznę. Piszę o tym, gdyż przecież przeszliśmy niewolę, w czasie której głód nam tak nie dokuczał jak brak ciepłej wody i mydła.

Baraki "huts" nasze wyglądały jak cudenka. Widać było, że przywieźliśmy z sobą odblask Polski. Naturalnie zorganizowałyśmy przedstawienie, któ-

re wywołało zachwyt całego staff'u Stacji Wilm-slow. Z nami wszędzie szedł śmiech i radość życia.

Pomimo jednak zewnętrznych objawów radości w sercach naszych miałyśmy smutek. Stałe — w myślach naszych, jak w kalejdoskopie, przesuwały się obrazy chwil przeżytych tak niedawno, a tak strasznie odległych od nas. Polska pozostawiona poza nami płonęła i jej najwierniejsi synowie ginęli.

Maria Gwiazdoń-Brodzka

## Melduję się w Faldingworth

Lotnisko ogarnął zmierzch. Szarość wieczoru nadawała budynkom nierealnych widm.

Zajechałam przed messę oficerską WAAF na RAF Station Faldingworth.

Pełna niepokoju weszłam do korytarza. Ot i jestem — nowy posting, polska stacja, polskie WAAF'ki, a w sumie ich około 300.

Przywitana serdecznie przez Haneczkę i ogrzana przystawioną cup of tea, poczułam się rażniej. Niestety na plotki nie było dużo czasu, godzina robiła się późna, a jutro czekała mnie "droga krzyżowa" czyli meldowanie się u Dowódcy Stacji i w poszczególnych Sekcjach.

Rozpakowałam swój wojskowy dobytek i rozejrzałam się po nowym locum. Pokój wydawał mi się pusty i bezosobowy; małe okienko z szybą zakrytą siatką drucianą, mebli minimalnie. Zrobiło mi się smutno. Czemu nazywano "TO" beczką śmiechu do dziś nie wiem. Nic do wesołości nie usposobiło.

Jak spałam i co mi się śniło nie pamiętam. Ranek wstał typowy angielski i styczniowy. W kasynie zostałam przedstawiona Dowódcy Stacji płk. R. Beillowi. Zawsze uprzejmy i życzliwy powiedział, że na mnie czekają i życzył powodzenia w pracy. Jak bardzo mu jestem do dziś wdzięczna za te dobre słowa!

W Sekcji Intelligence przyjęto mnie bez wylewności, ale rzeczowo. Personel angielski odchodzi i trzeba go zastąpić. Jest 4 Operation Intelligence oficerów i będziemy się obowiązkami dzielić. Do pomocy 5 WAAF'ek sierżantek, watch-

keeperek, pełniących służbę na zmianę przez 24 godziny. Przybyły one z całego świata: dwie z Kanady, jedna ze Stanów Zjednoczonych, jedna z Łotwy — wdowa po Polaku i w końcu ostatnia Angielka, wdowa po naszym lotniku, a wszystkie teraz Polki.

Powoli wciągam się w tę ciekawą pracę Operation Room! Stąd szły operacyjne rozkazy, tu przygotowywano odprawy, tu szykowano loty, tu czekano na powrót załóg — z ulgą wypisując na tablicy przy nazwie maszyny — wszystko znaczące słowo "wylądował". Wreszcie tu, już po interogacji odpoczywano.

Nigdy nie zapomnę ostatniej operacji wojennej 300 Dywizjonu. Cel: Berchtesgaden — siedziba letnia Hitlera. Szykowaliśmy się do niej jak do wielkiego, finałowego przedstawienia. Czuliśmy, że ten lot przed ostatecznym opuszczeniem kurtyny, przed zamknięciem sezonu, musi wypaść efektownie. Załogi chodziły podniecone — my podenerwowane. Godziny startu zmieniano parę razy. W końcu nad wieczorem, załogi wyleciały. Życzyliśmy im, aby robotę wykonali na piątkę i aby cel 4 tysięczkami zdmuchnęli z powierzchni Europy. Rzeczywiście zadanie spełnili pierwszorzędnie i wszyscy wrócili.

Dziś podobno Faldingworth jest zaorane. Śladu tam po nas nie ma. Może tylko złamane drzewo, przez które poniósł śmierć załoga sierżanta Robaczewskiego jeszcze szumi i wspomina polski Bombowy Dywizjon 300 i jego ludzi, którzy tam pracowali, walczyli i przegrali, bo pozostali bogaci tylko we wspomnienia i zawiedzione nadzieje.

Alicja Kaliniecka

# Trzy Drogi

Rok 1945

1 Princess Rd., London, Anglia

Sala kantyny w Dowództwie Lotnictwa Polskiego pełna. Są tu dziewczęta, młodzi ludzie i ci troszeczkę starsi. Wszystkich opina niebieski mundur. W rogu przy oknie siedzą cztery ochotniczki Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet. Nie słyszą gwaru wokół siebie. Są zatopione w rozmowie, a właściwie to jedna mówi a wszystkie słuchają.

Patrzę na te czasami roześmiane twarzyczki, na te oczy czasem zachodzące zadumą czy wręcz smutkiem, a niekiedy nawet przerażeniem. Wiem, że te cztery dziewczęta snują swoje wspomnienia. Przysiadam się do nich, gdyż i mnie jakoś dziwnie i smutno na duszy. Nawet nie zauważyły intruza.

Lala snuje dalej swoje opowiadanie.

„Pamiętam jak wczoraj. Warszawa się broni. Słyszę w aparacie radiowym: — Linie obronne naszego bohater- skiego wojska przesuwają się na wschód.

W naszym mieście jest jeszcze spokój. Zaczyna tylko brakować poszczególnych produktów spożywczych, ludzie wykupują wszystko.

W tem przez radio sucha notatka: — Armia sowiecka przekroczyła granice Polski. Brat Słowianin wbił Polsce nóż w plecy w chwili gdy broniła się przed przemożną siłą odwiecznego wroga, Niemców.

Do domu wpada ojciec. Musimy się pakować. Zabieramy tylko ciepłe odzienie, pomimo tego, że na dworze upał nie do wytrzymania. Słyszę szloch matki.

Nie mając żadnego środka lokomocji udajemy się na stację w nadziei, że będziemy mogli przedostać się do Lublina, do ciotki.

Stacja wypełniona po brzegi. Pociągi nie chodzą. Zapowiadają przez głośnik, że może jutro przyjdzie pociąg towarowy, który będzie mógł nas zabrać.

Nie pamiętam jak długo siedzieliśmy na stacji. Pamiętam za to, gdy na salę dworca wpadają wojskowi w nieznanym mi mundurach. Zaczynam płakać. Rozdzielają nas od ojca i biją go kolbami karabinu, tak zresztą jak wszystkich mężczyzn. Wyprowadzają ich wszystkich z sali stacyjnej. Matka przerażona tuli mnie do siebie i cichutko obie płacemy.

...Znowu jak w kalejdoskopie przesuwają się moje wspomnienia. Jest zima. Małutka wioseczka sowiecka, baraki, ciężko pracująca matka, która zaczyna kaszleć coraz ciężiej. Codziennie raniutko wychodzi razem z innymi kobietami do lasu ścinać drzewa.

...Znowu czas zaciera moje wspomnienia. Sama pracuję przy małutkich dzieciach pozostawionych przez pracującą matkę. Coraz tych dzieci mniej.

...Nie mamy wiadomości od ojca. Potem przychodzi najcięższy dzień mojego życia — śmierć matki. Zostaję sama pośród obcych.

...Snują się monotonne dni, cały ich różaniec, podobnie jak i jedno do drugich.

...Potem wyjazd na południe z ludźmi mieszkającymi w tym samym przysiółku.

...Potem w szeregach wojskowych, Służba wojskowa. Wyjazd przez Persję, którą pamiętam jako kolorowy film - minarety, fontanny, cudne słońce.

Dalsza droga wiodła przez góry, doliny Iraku do Bagdadu i Palestyny. W porcie stoją kolosy statków pasażerskich. Jądują nas na te statki, które płyną do Anglii.

...No i tutaj WAAF. — Resztę już same wiecie.



Na chwilę zapanowała cisza. W pewnym momencie głos zabiera — Zosia. Jej okrągła, mała twarzyczkę otaczają czarne loki, które napróżno stara się wcisnąć pod obowiązujący w WAAF'ie „walek”.

„Ja przeszłam inną drogę. Z Warszawy w 1939 roku z rodzicami udaliśmy się w stronę granicy rumuńskiej. Droga była straszna. Nad głowami krążyły samoloty niemieckie, polując na ludzi jak na zające. Zdawało się być głuchy odgłos armat, przerywany silnymi wybuchami. To broniła się stolica Polski — Warszawa, którą oblegał odwieczny wróg.

...Nie pamiętam dobrze jak przedostaliśmy się do Rumunii. Wiem tylko, że tatuś był wszędzie, wszystko wiedział. Zawsze uśmiechnięty i opiekuńczy.

...Jak się to stało, że znaleźliśmy się we Francji, on tylko znał całkowitą prawdę. Zdawało się nam, że już spokojnie przeżyjemy burzę wojenną. — Gdzież tam.

Ojciec zgłasza się do Lotnictwa Polskiego. Wyjeżdżamy do Anglii. Mnie tłumaczą, że jestem jeszcze za młoda do wojska. Pomimo tego udaje mi się dostać do 2-go polskiego szpitala w Szkocji. Przechodzę kurs sanitariuszek.

W roku 1943 dostaję się razem z 36-ma do nowo-powstałych oddziałów kobiecej Służby przy Lotnictwie Angielskim tzw. WAAF'u. Tak jak każda z nas przeszedłam Wilmslow, w którym potem zostaję instruktorką. Przybywa belek na rękawie... Szkoła oficerska i przydział na stację. Staż.

W grudniu wysłano mnie na Hebrydy, gdzie zostaję przydzielona jako oficer odpowiedzialny za polską sekcję WAAF'u. Jest to tak zwany Coastal Command — do którego należą polski Dywizjon bombowy 304. Przeniesiony do Kornwalii dywizjon ciągle lata... prowadzi „Bitwę o Atlantyk”. — Tyle się ciągle mówi o „Bitwie o Anglię” a tak mało się wspomina bohaterską „Bitwę o Atlantyk”.

W tym czasie przeżywam dzień, który najbardziej upamiętnił mi się w okresie całej wojny. Jest mgliście i pada drobny deszcz. Czekam z podniesioną głową i nad słuchuję czy nie wraca Janek (byłam już w tym czasie zaręczona z dryblasem blisko dwumetrowym o rozwichrzonej czuprynie i błękitnych oczach). Nie wiem jak długo czekałam. Podobno trzy godziny. Przychodzi wiadomość, że zatonął po walce samolot kanadyjski. Serce moje ścisnęło ból i ogarnia mnie przerażenie. Usta bezwiednie wymawiają modlitwę o szczęśliwym powrocie Janka. — Wtem sły-

szę wyraźnie warkot motoru. Wybiegam bez płaszcza na dwór. Maszyna już jest na ziemi i wolno „rolluje” w kierunku hangarów. Biegnę jak szalona w tym kierunku. Maszyna staje. Widzę przez szybę roześmianą twarz Jan-ka”.

Głos zabiera mała Maria. — „Ja, jak wiecie jestem tą „burzycielką Warszawy”. Lata okupacji, to lata ciężkiego zmagania się nad utrzymaniem starszych rodziców.

Lata okupacji to lata pracy w konspiracji. Przenoszenie meldunków, prasy, „Biuletynu Informacyjnego” — pod- słuch radiowy, przewożenie pieniędzy do oddziałów leś- nych, przenoszenie broni, kursy szkoleniowe w łamach szkoły podchorążych, ostre strzelanie na poligonach lasu Kabackiego — praca liczona godzinami stałego ryzyka po- nad wszelką miarę. — Lata okupacji niemieckiej — to lata hartu ducha i serca.

W tych latach szła ze mną rozżoconą nadzieją młodość, przyjaźń i miłość.

Potem przychodzi powstanie warszawskie... Pozostaje pustka.

O dziewczętach z A.K. powiedział kiedyś jeden z lotni- ków takie słowa, które wryły mi się w pamięć.

— „Nie mogę mówić o zaletach wojskowych 86 ochot- niczek z Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, które przy-

były z Armii Krajowej — bo o tym powiedziała już War- szawa. Jej bronily. Większość z nich ma polskie odzna- czenia bojowe, kilka dosłużyło się stopni oficerskich. Czy to, że przeszły niewolę w najstraszniejszym jej wydaniu klęski psychicznej i nie załamały się — świadczy o ich hartie ducha? Nie, to było ich obowiązkiem, obowiązkiem polskiego żołnierza, tak jak naszym obowiązkiem było latać, a gdy przyszła potrzeba tak jak one, oddawaliśmy życie za Ojczyznę.

Przyszły one do nas z wiarą, że znajdą w nas przyja- ciół, że znajdą ten sam entuzjazm i tę samą miłość co paliła ich serca w Warszawie. Jest w tych dziewczętach tak niesłychany kapitał moralny. One wciąż nadal wierzą, że dobro i uczciwość muszą zwyciężyć. Pamiętajmy, że w tych polskich dziewczętach oddała nam swój ostatni uś- miech — WOLNA WARSZAWA”.

Zapanowała kompletna cisza. Odwracam głowę i widzę, że wielkie grono kolegów lotników otoczyło naszą grupkę dziewcząt i z powagą przysłuchują się ich słowom.

Z rozmachem wcisnęłam czapkę na głowę i ze ściśnię- tym sercem wyszłam na ulicę obojętnego Londynu.

**Maria Brodzka**  
Skrzydło „Warszawa”



Organizacji Lotników składamy życzenia pomyślnych obrad w dniach Światowego Zjazdu w 1976 r. w Hamilton, Ont.

### PLACÓWKA 114 S.W.A.P. z KORPUSEM POMOCNICZYM PAŃ

783 College Street,

Toronto 4, Ontario

Tel.534-7231



### KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

życzy Pomyślnych Obrad Światowemu Zjazdowi Lotników Polskich.

T O R O N T O



Serdeczne życzenia owocnych obrad Światowemu Zjazdowi

Lotników Polskich składa:

### STOWARZYSZNIENIE BYŁYCH JUNAKÓW

T O R O N T O



### KOŁO KARPACZYKÓW w TORONTO

199 Indian Road, Toronto, Ont., 15L 0N7

z okazji Światowego Zjazdu Lotników Polskich w Hamilton, Ont.

przesła koleżeńskie pozdrowienia



Przystąpiła Ewa Kozłowska 23 III 06

II - 11

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Poisk"  
w Toruniu

Wpłynęło dnia: 23.05.06  
L. dz.: 1309/254-512/06

Referent: .....

Maria Brodzka

**MY Z ARMII KRAJOWEJ**

Ażeby spleść służbę w "błękitnych mundurach" ze służbą w szeregach Armii Krajowej podaję garść wspomnień, które rzucą nieco światła na koleje losów dziewcząt w okresie II wojny światowej.

Rok 1939. Chrząst butów niemieckich po brukach Warszawy. Stoją ruiny wypalonych wewnątrz domów. Specyficzny zapach gazu w powietrzu. Ludzie przemykają się pomiędzy domami w pogoni za chlebem, za żywnością. Pomiędzy ludnością Warszawy snują się cienie o zastraszonych oczach - to byli żołnierze Armii Polskiej, którzy się ukrywają przed rozwścieczonym żoldactwem niemieckim. Cienie te szukają dróg na zachód. Szukają kontaktów, ażeby się przedostać do armii polskiej. Młodzież Warszawy zaczyna działać. Drogi jej idą na razie na południowy wschód na granicę polsko-węgierską. Młodzież zdolna do noszenia broni opuszcza Warszawę. Pozostają jedynie ranni w szpitalach. Praca nasza idzie w kierunku niesienia pomocy i pociechy tym, którzy tak niedawno nieśli w ofierze najcenniejszą daninę dla Ojczyzny - daninę życia. Wyszli z tych zmagania z wielokrotnie silniejszym wrogiem okaleczeni, chorzy i z rozpaczą w sercach. My dziewczęta z Warszawy podjęłyśmy w tych pierwszych dniach po jej upadku trud niesienia pomocy tym najniezwyklejszym, przykutym do łóżek szpitalnych. Praca na razie szła niezorganizowana i dorywczymi drogami. Pracując w wydziale prawnym Zakładów Philipsa - zostaję przeniesiona do wydziału personalnego. Dyrektorzy fabryki Philipsa, Holendrzy zezwalają na dożywianie rannych żołnierzy polskich w warszawskich szpitalach. W fabryce prowadzona jest wspólna kuchnia dla pracowników fabrycznych, gdyż Warszawa jest wygłodzona. Dużymi krokami przyszła sroga zima z mrozami sięgającymi do -30 stopni. Pomoc dla polskich żołnierzy jest dobrodziejstwem, gdyż szpitale nie otrzymują żadnych przydziałów od władz niemieckich. Byli polscy żołnierze cierpią głód.

Po godzinach służbowych szeregi dziewcząt wychodzą z fabryki dźwigając duże gary z zupą i niosą w kierunkach warszawskich szpitali. Z fabryki Philipsa na ul. Karolkowej do szpitala Ujazdowskiego na Górnosląskiej przy Al. Ujazdowskich jest

kawał drogi. Naturalnie jeździmy tramwajami. Praca ta szalenie wyczerpuje fizycznie i tak słabe i niedożywione dziewczęta. Trzyma nas jednak duch i uśmiech witający w salach szpitalnych. Praca ta nie ma ram organizacyjnych. Przechodzimy jednak przeszkolenie opieki nad rannymi. Nieraz jesteśmy dawczyniami własnej krwi dla ciężko rannych. Lekarze polscy pracę swoją sprawują w wielu wypadkach potajemnie. Lżej rannych wyprowadzamy do domów prywatnych, co ułatwia wyżywienie rannych.

Mija rok 1940 i jest lipiec 1941. Komendant Główny ZWZ, późniejszy dowódca AK, gen. Grot-Rowecki w swoim meldunku do Naczelnego Wodza na Zachodzie podaje, że *"kobiety pozostające w czynnej służbie Sił Zbrojnych Kraju w okresie konspiracji, są żołnierzami znajdującymi się w obliczu nieprzyjaciela"*. Oprócz uczestnictwa w służbie zdrowia, łączności, opieki nad żołnierzami, w służbie transportu, w służbie wartowniczej i pracy w sztabach - kobiety w Polsce biorą udział w akcji dywersyjnej i w wywiadzie i wezmą udział w akcji powstańczej - bojowej. W ramach powyższych zadań kobiety mogą pełnić wszelkie funkcje, o ile zajdzie ku temu potrzeba zastąpią mężczyzn. W ten sposób kobieta polska została żołnierzem. Społeczeństwo polskie trwa w oporze i w zmaganiach na wszystkich odcinkach życia przeciwko teutońskiej przemocy. Kraj cały obejmują siecią konspiracji. Tworzy się rozległy i wszechstronny aparat podziemny, tak wojskowy, jak i cywilny. Do szeregów wojskowych, z których powstała później Armia Krajowa garnie się młodzież męska i żeńska. Nie brakuje w tych szeregach żadnej warstwy społecznej. Wszyscy są zjednoczeni i gotowi do każdego wysiłku, każdej ofiary. W roku 1942 składam przysięgę żołnierską i zostaję łączniczką w kompanii WSOP (Wojskowa Służba Ochrony Powstania), która obejmuje wszystkie fabryki i jest częścią składową Armii Krajowej. W myśl zasady konspiracyjnej *"nie staraj się wiedzieć więcej niż widzisz"* organizacyjnie niewiele wiem. Znam tylko 5 osób i trzy punkty na terenie Warszawy. Oprócz tego podlegam organizacyjnie Kobiecej Służbie Wojskowej w łamach której przechodzę przeszkolenie wojskowe, sanitarne i łączności. Naukę o broni przechodzę w ramach oddziałów męskich. Jako studentka prawa Uniwersytetu Warszawskiego pracuję w wydziale prawnym w zakładach Philipsa. Za wiedzą dykcji zostaję przeniesiona do wydziału personalnego jako łącznik organizacyjny. Praca moja na razie koncentruje się na zabezpieczaniu członków ruchu oporu przez wydawanie "lewych" legitymacji fabrycznych (tzw. ausweisów). Są one gwarancją na niearesztowanie w razie łapanek.

Jest wiosna. Słońce tańczy po rozpalonych chodnikach stolicy. Biegnę na kurs broni palnej. Tak bardzo czuję się częścią składową walczącego narodu. Cieszę się, że nareszcie będę miała "visa" w ręku, że będę umiała się z nim obchodzić. Do tej pory jedynie chłopcy przechwalali się, że ten strzelał, tamten rozbił go. Ja tylko umiałam strzelać z karabinka do celu. Przed wojną w gim-

nazjum w ramach Wojskowej Służby Kobiet na zawodach wygrałam nawet, strzelając 99 pkt. na 100 możliwych. Pamiętam, że Ojciec mój śmiał się i mówił "po co dziewczynie karabin, lepiej jak przystało na kobietę niech się nauczy robić pierogi". Pamiętam, że byłam bardzo tym oburzona. Biegnę ze spuszczoną głową. Wtem nagle widzę na płytach chodnika obok cudnie tańczących promieni słonecznych czarne, świecące i szyderczo śmiejące się buty. Trzepocąc się radosne myśli uciekają gdzieś w głąb czaszki - staje widmo grozy. Buty, Buty. Słysząc głośnie gwizdki i ostry głos - HALT! Staję, ale myśl biegnie dalej. Spóźnię się na kurs. I co robić? Nie myślę o niebezpieczeństwie i konsekwencjach aresztowania i zwolna się cofam pod ścianę domu. Czuję, że ktoś stoi koło mnie. Czuję jak napięte są jego nerwy. Widzę ostry cień profilu na ścianie muru. Chrząst podkutych butów się zbliża i chropowaty głos rzuca krótkie AUSWEISS! Drżącymi dłońmi wydaję z torebki swoją legitymację. Krótki rzut oka spod helmu i legitymacja zostaje mi zwrócona. Słyszę krótkie RAUSS! Krok na przód i widzę w ręku młodego człowieka, który stał obok mnie legitymację Philipsa. Znow krótkie RAUSS! W przelocie widzę oczy młodzieńca - jasne i szczęśliwe. Jest też wolny!

1944

Jest 30 i 31 lipiec. Alarm gotowości. Noc spędzona na punkcie alarmowym. Następuje dzień 1 sierpnia. W biurze moc pracy - okres wakacji. Biurka zawalone aktami. Mijają szybko chwile minuty i godziny. Na zegarze w hallu wybija godzina 4-ta, potem za kilka chwil patrzę, jest 4:30 i dzwoni telefon na biurku Zygmunta. Jest czyste letnie popołudnie i jakaś cisza. Zygmunt odkłada słuchawkę telefonu i mówi "Zaczęło się". Wstajemy wszyscy od biurki spokojnie, bierzemy swoje teczki i wychodzimy. Każdy z nas wie gdzie idzie. Ja biegnę na punkt zborny wraz z Jerzym Kurpiewskim, moim bezpośrednim dowódcą. U wylotu Towarowej i Grzybowskiej środkiem ulicy sunie spokojnie czołg niemiecki. Przechodzimy na drugą stronę. Jerzy ściska mi dłoń i mówi "Szczęść Boże". Rozstajemy się. Tramwaje na Chłodnej zapełnione. Jurek miał dotrzeć do swego punktu. Widzę jego rozwianą płową głowę, wiem, że ma okrążyć Karcelak i dotrzeć do punktu. Ja mam niedaleką drogę na ulicę Śliską. Przechodzę koło czołgu spokojnie. Myśli kłębią się w czaszce. Strzeli czy nie? W tym momencie rozeszły się moje drogi z pierwszym dowódcą, żeby w ogniu walki na Starym Mieście spotkać się tylko na ułamek sekundy przed wyruszeniem do natarcia na Stawki, w którym ginie. W naszych rozmowach o przyszłości marzyła mu się praca w wolnej Polsce. Dotarłam szczęśliwie na swój wyznaczony punkt o godz. 6-tej wieczorem, gdzie znalazłam rozkaz zgłoszenia się jako łącznik naszej kompanii WSOP do "Zgrupowania Chrobry I"- kpt. "Sosny" Gustawa Bilewicza, brata lotnika polskiego, który zginął w bitwie o Anglię. Zapada noc. Z dala słychać strzały. Nie mogę spać wraz ze starszą panią właścicielką lokalu, w którym był mój punkt organizacyjny. Modlimy się, ażeby Polska była niedługo wolna. Rano przebiegam ulicę Żelazną do Grzybowskiej i dostaję się w mój pierwszy obstrzał. Docieram szczęśliwie na Grzybowską

do browaru Chaberbusz i Schile” gdzie stacjonuje Batalion “Chrobry I”. Wchodzę do kancelarii. Oddaję swoją karteczkę przydziałową. Szef kiwa ręką i pokazuje mi krzesło. Wszystko się kręci wokół mnie, biegają gońcy, wpadają oficerowie. Meldunki. Coś się dzieje. Nic się nie orientuję, ale zaczyna mi się udzielać nastroj, gorączka czegoś, czego nie umiem opisać i precyzować. Dzwonią znowu telefony, naraz dwa - normalny i polowy. Nie wytrzymuję nerwowo i chwytam za jedną ze słuchawek. Słyszę krótkie “Z Sosną! Tu kpt. Kamień”. Cichutko pukam do drzwi - słyszę “Wejść”. Wpadam do drugiego pokoju. Przy biurku siedzi wysoka postać mężczyzny. Stukam jak mogę najsprawniej swoimi gumowymi obcasami. Melduję się. “Łączniczka Kompanii WSOP “Myszka Powsinoga”. Po drugiej stronie biurka nagle wybucha huragan śmiechu. Jestem szalenie speszona. Nie kończę już meldunku tylko dodaję “Telefon do Pana Kapitana”. Takie było moje pierwsze spotkanie z jednym z najdzielniejszych dowódców powstania późniejszym dowódcą “Warszawa Północ”-”Stare Miasto” i majorem Gustawem Bilewiczem (SOSNA)

3 sierpnia pada rozkaz odbicia Philipsa. Zgłaszam się ochotniczo do oddziału rozpoznawczego z por. Stefanem na czele. Idzie nas pięcioro. Uzbrojenie - dwa “visy”, dwa granaty, no i kula u nogi tzn. ja. Biegniemy ulicą Grzybowską w dół do ulicy Towarowej. Towarowa! Obstrzał. Na Torowej stoi niemiecki czołg i od niechcenia od czasu do czasu strzela. W myśl zasady, że głupi ma szczęście docieram do tylnej strony fabryki Philipsa. Do dnia dzisiejszego nie wiem w jaki sposób przesadziliśmy wysoką bramę. Jesteśmy na dziedzińcu Philipsa, od bramy przy ulicy Karolkowej syją się strzały. To “werkschuce” siedzący w małym bunkrze przy głównej bramie. Jeden wielki skok i por. Stefan rzuca granat. Wybuch i cisza. Z bunkra w którym normalnie był sanitariat fabryczny wychodzi dyrektor fabryki inż. Van Der Vaide i widząc mnie pomiędzy chłopcami uśmiecha się i mówi “obiecała mi Pani, że Philips znów kiedyś będzie polski, no i jest”. Szczęśliwa otrzymuję dla Zgrupowania “Chrobry I” dwa aparaty radiowe.

Zostawiamy dwóch młodych ludzi w celu ochrony fabryki. W czasie tych kilku chwil na terenie Philipsa dochodzi do sceny, która pozostała w pamięci na całe życie. Scena pomiędzy komandorem niemieckiej marynarki wojennej, a nami. On poddając się naszemu oddziałowi oddał mi swój “kordzik”, który towarzyszył mi przez okres całego powstania uwieszony u mego pasa. W dniu wyjścia z Warszawy po zawieszeniu broni i upadku powstania, mój dowódca kpt. Konar wydał mi rozkaz ażebym gdzieś zakopała ten kordzik, gdyż mogę być przez Niemców rozstrzelana za posiadanie tej broni. Tak też zrobiłam w rozwalonym piecu przy ul. Widok 1. W roku 1966 w czasie mojej pierwszej wizyty w Warszawie poszłam szukać ul. Widok 1. Tego domu już nie było. Kordzika więc nie znalazłam. A szkoda, bo przynosił mi szczęście. Nie zginęłam, choć z 1700 w batalionie zostało nas tylko 42 osoby.

Batalion Chrobry I walczy i zdobywa bunkier przy zbiegu ulicy Żelaznej i Chłodnej. Utrzymuje południową stronę Chłodnej. Niestety zmuszeni jesteśmy przejść na Leszno do gmachu Sądów, w dniu 9 sierpnia na Stare Miasto. W tych walkach Grzybowska, Towarowa, Chłodna nasz batalion traci wielu żołnierzy. Pierwszym naszym miejscem postoju na Starym Mieście była szkoła na ul. Barokowej, która kończyła się ślepo na ścianie parku Krasińskich. Stąd wyszedł nasz atak na Stawki i tory kolejowe dworca Gdańskiego. W tym czasie w szeregach batalionu Chrobry I jest około 150 dziewcząt - łączniczek i sanitariuszek. Mjr "Sosna" mianował mnie ich komendantką. Koniec świata. Rozgardiasz kobiecy.

Odprawa i odczytanie przydziałów łączniczek. Po dwóch dniach wszystko zaczęło działać sprawnie i tak jakby wszystkie te dzielne z dzielnych czekały na to, ażeby stać się najbardziej zdyscyplinowanym oddziałem. Bez żadnego kłopotu od tej pory w "raju" kobiecym grało wszystko. Po dużym naporze oddziałów "Herman Goering" odcinek przesuwają się na granicę ul. Leszno, pałac Mostowskich, Arsenał, pasaż Simonsa, Nalewki i granica parku Krasińskich. Teren ten obejmuje Zgrupowanie "Sosny". My przechodzimy do pasażu Simonsa, a kpt. Konar ze swoimi oddziałami do Arsenалу. Bataliony harcerskie "Zośki" i "Parasola" przejmują park i pałac Krasińskich do ulicy Długiej - północ. Po natarciu na Stawki nasze oddziały zostały przemundurowane w panterki niemieckie - wyglądamy jak prawdziwe wojsko, choć wraży na nas mundur, ale jednakowo. Podnosi to bardzo morale oddziałów. W tym czasie zachodzi wypadek, który jest godny odnotowania, a mianowicie oddział por. Lisa zdobywa działko przeciwpancerne, które zostaje ustawione w bramie pasażu Simonsa. Niesamowita radość napelnia nasze serca. Przeżywamy w tym czasie podniosłe chwile wspólnej spowiedzi powszechnej, którą w czasie Mszy Św. udzielił nam o ile dobrze pamiętam ks. Marcin. Wszyscy czujemy się jakoś lepsi i serca nasze krzepną w „woli walki”. Niestety w natarciach i wypadach siły nasze zaczynają topnieć. Tracę najdzielniejsze dziewczęta, które z narażeniem własnych żyć ściągają rannych z pola walki. Niemcy "zdobywcy świata" z radością wystrzelują te bohaterskie dziewczęta, jak wróble, polując na nie ze zwierzęcą pasją. Rośnie sława dzielnej łączniczki i sanitariuszki. Już po oddziałach płynie pieśń o „sanitariuszce Małgorzacie” i rośnie legenda o „łączniczce Wandzie”. Mijają dni strasznych walk o każdą pędź ziemi. Obrona przyczółka „Arsenału” i „pasażu Simonsa” trwa. Któregoś dnia alarm. Niemcy wprowadzili do walki z nami czołgi tak zwane „goliaty” i taki jeden wyglądający jak mały czołg sunie sobie pasażem Simonsa. Krótki rozkaz. Skacze Lech (harcercz) z nożycami i przecina elektryczny przewód prowadzący „goliata”. Niestety ginie od serii strzałów z Pałacu Mostowskich, który Niemcy zdołali obsadzić. Pierścien się zacieśnia. Obrona jednak krzepnie, choć oddziały mogły walczyć i ukrywać się. Niemcy wprowadziły do walki miotacze min, tzw. krowy i ciężkie moździerz kruszące domy. Pasaż Simonsa zaludnił się ludnością cywilną. Zaczynało brakować żywności i wody. Olbrzymia

armata umieszczona na kolejowej platformie burzyła Stare Miasto. Upór obrońców krzepł. Któregoś dnia przybył do nas kpt. Władysław. Miał na sobie błękitny płaszcz i beret obszyty czarną skórą. Tyle wiedzieliśmy o nim (z artykułu p. Jerzego Rozwadowskiego dowiedziałam się, że nazwisko kpt. Włada było Władysław Dobrzański). Spokojnie zajął jedną z prycz w dowództwie i zaraz po południu wyszedł na najwyższe piętro Pasażu i zaczął swoje polowanie na Niemców. Przesiadywał tam całymi godzinami. Poszłam tam raz z nim. Wskazał mi miejsce, gdzie mam się ukryć przed obstrzałem i kazał cicho siedzieć. Nie czekał długo. Na przedpolu pałacu Mostowskich zaczęli wchodzić Niemcy spokojnie chodząc po podwórzu. Zobaczyłam jak kpt. Władysław podniósł swój karabinek nastawiając do strzału i bez zastanowienia się i czekania zaczął strzelać. Zobaczyłam jak jeden po drugim Niemcy skręcali się jak "bączki" i padali martwi na ziemię. Wśród nich zapadła konsternacja, zaczęli uciekać. Kpt. Władysław - usłyszałam, jak mówił - *"to za Warszawę psuwały, to za Polskę, a macie, a macie"*. Niestety z jednej z tych swoich wycieczek na piętro nie wrócił. Znaleźliśmy go i pochowaliśmy na podwórzu Pasażu. Niech mu ziemia droga i święta lekka będzie.

Była wśród nas może 17-18 letnia łączniczka "Wanda", jasna blondynka, szczupluta o błękitnych oczach. Zawsze uśmiechnięta i śpiewająca. Kochali ją wszyscy za jej dobre serce, gotowość do pracy i poświęceń. Nie zważająca na żaden trud i niebezpieczeństwo. Było to dziewczątko uosobieniem życia i pogardy dla śmierci. Gdy jej oddział szedł na wypad, szła zawsze nucąc piosenkę. Była dobrym duchem i maskotką oddziału. Niestety nie dane jej było długo cieszyć serca kolegów i koleżanek. Zginęła w natarciu na Stawki. Pamiętam jak dzisiaj powrót jej oddziału. Minał nas w drodze, gdy szliśmy ich złuzować. Od razu odczuło się, że coś tragicznego się stało. Podbiegłam do niesionych noszy i pytam, kto jest ranny? Cisza była odpowiedzią. Odkryłam rąbek koca i zobaczyłam w świetle pożarów jasną uśmiechniętą buzię łączniczki Wandy - ale jakże inną. Uśmiech ten już nie był uśmiechem z tego świata. Po naszym powrocie ze Stawek odbył się żołnierski pogrzeb łączniczki Wandy. Pochowana została w trumnie zbitej z ławek szkolnych szkoły na Borowej i tam pochowana. Krótkie przemówienie i wielki serdeczny płacz nas wszystkich.

Jest 13 sierpnia. Do nas z Kampinosu przychodzi oddział żołnierzy. Wśród nich jest kilku harcerzy. Przeszli kanałami z Żoliborza. Oni byli jacyś inni. Pachniało od nich lasem, wolnością. My już od 2 tygodni nie widzieliśmy wody do mycia. Woda używana była jedynie do gotowania herbaty i zupy. Mycie należało do luksusu, na który mogli się zdobyć tylko ci, którzy przechodzili do dowództwa na Długa 24. Fatalna 13-tka dla batalionu "Gustaw" i "Wigry" - zdobyty czołg. Wszyscy szaleją z radości. Wtem straszliwy huk eksplozji. Zbrodniczy czyn morderców dzieci Warszawy wprowadził w obręb barykad Starówki czołg napęczniony trotylem z zapalnikami nastawiony na czas. W jednej sekundzie giną setki żołnierzy i ludzi Stare-

II-1  
go Miasta. Serca nas wszystkich na wieść o tym napęła jeszcze większa nienawiść i determinacja. Tego samego wieczoru w audycji radiowej BBC nie usłyszeliśmy chorału "Z dymem pożarów" znak, że idą zrzuty. Z bazy w południowych Włoszech, gdzie stacjonował dywizjon 301 (później nazwany Dywizjonem Obrońców Warszawy) wyleciało ponad 6 samolotów, a powrócił do bazy tylko jeden.

Nie mogę spać. Idę w ciemnościach w kierunku naszych posterunków przy parku Krasińskich. Wtem słyszę warkot motorów. Idą zrzuty. Strzelanina szaleje. Widzę grę reflektorów niemieckich. W świetle pożaru widzę kolos-maszynę lecącą nisko nad punktem zrzutowym na Pl. Krasińskich. Koralki broni przeciwlotniczej lądują w ciele olbrzyma. Widoczne jest, że pilot chciał poderwać maszynę, ale nie udało mu się. Runął w wąwóz ulicy Miodowej.

Maszyna płonie. Ze szczątków samolotu powstańcy wydobywają ciała lotników w niebieskich mundurach. Fama głosiła, że jeden z lotników był Polakiem. Ze szczątków samolotu batalion „Chrobry I” otrzymał najcięższy karabin maszynowy, który przez kilkanaście dni bronił naszej barykady. Zwłoki poległych lotników uroczyście pochowano w dniu 14 sierpnia we wspólnej powstańczej mogile na ul. Długiej.

14 sierpnia wieczorem oddziały „Sosny” odbijają barykadę przy ul. Tłomackie i niszczą 3 czołgi. Znowu obejmujemy redutę pałacu Mostowskich. Napór niemiecki wstrzymuje zdobyte przez por. Lisa działko z obsługą Sława i Della. Znowu pod wieczór tracimy pałac Mostowskich i otrzymując pomoc z batalionu „Wigry” zdobywamy znowu pałac Mostowskich, który przechodzi z rąk do rąk. Tam zdobywamy trochę broni i amunicji. Próby przebicia się 759 dobrze uzbrojonych ludzi z puszczy Kampinowskiej zawodzą. Plk Wachnowski nie traci nadziei. Siły obronne Starego Miasta niestety topnieją. Topnieją też nasze oddziały. Żywności i wody brak. Jest nam coraz ciężiej na sercu. Rosną groby wokół pasażu Simonsa. Ranni nie chcą iść do szpitali. Potężny gmach pasażu Simonsa daje minimum obrony, ale zawsze są pomiędzy swoimi kolegami od pierwszych dni powstania. Biegnę z meldunkiem do Zgrupowania. Obstrzał z obu stron od ulicy Długiej i z parku Krasińskich. Przeskakuję w dwóch miejscach. Teren ze znakami OBSTRZAŁ! UWAŻAJ! W przedsionku rozwalonego domu wpadam na postać trzymającego marsera w rękę w hełmie w panterce. Ja też jestem w panterce i na głowie mam austriacką czapę z szarotką. Staję. On też.

Mierzymy się wzrokiem. Serce zaczyna mi bić jak szalone. To Niemiec! On nie wierzy oczom. Ma przed sobą dziewczynę w niemieckim mundurze. Przytomność umysłu z mojej strony. Skok w dziurę w podłodze do piwnicy i w nogi. Przez dobre 15 minut siedzę cicho. Nad głową słyszę tylko strzelaninę, ale już jest normalny dźwięk, który towarzyszy nam od trzech tygodni. W głowie trzepece myśl

- "Meldunek musi być dostarczony". Postanawiam piwnicami przemknąć się w kierunku gmachu Sądu Akt Dawnych. Cicho prześlizguję się pod ścianami. Przeciskam się w wyrwach i zawaliskach. Wychylam zza węgła i widzę, że znowu jestem po naszej stronie. Przeskok, obstrzał, niska barykada i już dowództwo. Rozkaz wykonałam. Poszło natarcie, a ja z nim i wróciłam do batalionu szara od pyłu w postrzelanej panterce z zadraśniętym kolaniem, ale cała i szczęśliwa, że znowu jestem wśród swoich.

Nie pamiętam jak przeżyliśmy ostatnie dwa dni na Starówce, tzn. 29 i 30 sierpnia. Widziałam tylko, że nas jest coraz mniej i że pasaż Simonsa wypalony do piwnic. Nad głowami po pogorzeliakach chodzą Niemcy. Słychać wyraźnie ich gardłowe głosy. Jesteśmy nawet zadowoleni, że Niemcy są nad nami, gdyż sztukasy nie bombardują pasażu, ale za to nękają konającą Starówkę. Padła Katedra i Wytwórnia Papierów Wartościowych. Upadek Starego Miasta jest kwestią godzin. My w Pasażu nie wiemy co się dzieje, gdyż jesteśmy odcięci. Ruinami przychodzi rozkaz przygotowania się. Mamy nocą opuścić Pasaż i przebić się do Śródmieścia. Nadzieja wsącza się w nasze serca, że idziemy do akcji i dalej będziemy bronić stolicy, a nie ginąć od nalotów i "ryczących krów". Droga nasza ma iść przez ruiny pałacu Radziwiłłów. Wyruszamy około 10 wieczorem, z trudnością przeciskając się wśród ludności cywilnej, która dowiedziawszy się o zamiarach przebicia do Śródmieścia, mówi: "zostawiacie nas na pastwę żoldactwa niemieckiego". Idziemy z ciężkim sercem. Długie cienie wśród ruin idą w kierunku pałacu Radziwiłłów. Dochodząc rzucamy się na ziemię czekając na dalsze rozkazy. Mijają godziny. Z daleka słychać strzelaninę huraganowego ognia nieprzyjacielskiego. Kpt. Konar wysłał łącznika po dalsze rozkazy. Wracający łącznik przynosi hiobową wieść, że wracamy do naszego dawnego miejsca postoju, tzn. Pasażu Simonsa. Jest już szaro. Około 8-jej rano ocieramy znowu do pasażu. Jest cicho. Nie słychać głosów niemieckich ponad nami. Kpt. Konar chce wysłać łącznika do dowództwa, ale ten ma ranne kolano. Biegnę ja. Za mną jak cień sunie Wacka. "Ja z tobą Myszka, ja z tobą". Nie mam już sił przeciwstawić się determinacji dziewczyny. Biegniemy do przeskoku. Obstrzał i znowu cisza. Wtem słyszymy warkot samolotu. Czarny złowrogi ptak jest tuż nad nami, zawraca i słyszymy straszny huk. Podmuch przewraca nas obie. Leżymy sekundę. Podnoszę głowę i widzę nad Pasażem Simonsa olbrzymią chmurę dymu. Cegły lecą wokół nas. Nawet nie czuję, że jesteśmy przysypani cegłami i gruzem. Ponad głową widzę cudnie błękitne niebo i blask słońca, które przebijają się przez chmurę dymu. Boję się ruszyć, nie wiem czy jestem cała. Nic nie czuję. Stajemy obie z Wacką i biegniemy do dowództwa. Już nawet nie było obstrzału na Długiej. Staję przed mjr Sosną i melduję. "Pasaż Simonsa zbombardowany". Sosna rzuca krótkie "Prowadź". Zostawiam Wackę w dowództwie, jest roztrzęsiona i rozplakana. Przybiegamy do Pasażu. Straszny widok uderza w nasze oczy. Rumowisko. Biegniemy zasypanym na ratunek. Wyciągamy rannych i trupy. Nadbiega łączniczka Mucha wołając, że barykada na Bielańskiej wycofuje się. Sosna zwraca się do kpt. Konara i mówi "Dzielne są te twoje insekty".



Konar nie zdając sobie sprawy pyta: "Jakie insekty?" Sosna na to: "Myszka i Mu-cha. Przedstaw je do Krzyża Walecznych. Widziałem je obie w akcjach. Niech kiedyś ich wnuki powiedzą, że moja babcia była powstańcem warszawskim". W tak tragicznej chwili wszyscy wybuchamy śmiechem. Powstaje z nas batalion Chrobry I - 42 osoby. 300 ludzi ginie w gruzach Pasażu Simonsa.

Jest 31 sierpnia. Przychodzi rozkaz wycofania się kanałami do Śródmieścia. Idziemy w ostatnim rzucie wraz z „Parasolem” i „Wigrami”. Po wyjściu z kanału dostaję do ręki wydrukowany ostatni rozkaz dowódcy Północ. *“Żołnierze Starego Miasta! Zmagając się z wielokrotnie przewyższającymi siłami wroga, uczyniliście wszystko czego wymagały rozkazy i honor żołnierza polskiego! Niechaj zawsze przyświeca Wam szczęście żołnierskie, a wśród najstraszniejszych nawet trudów i znoj, dźwigajcie honor Żołnierza Starówki. Takim mianem ochrzciła Was Stolica i Polska”.*

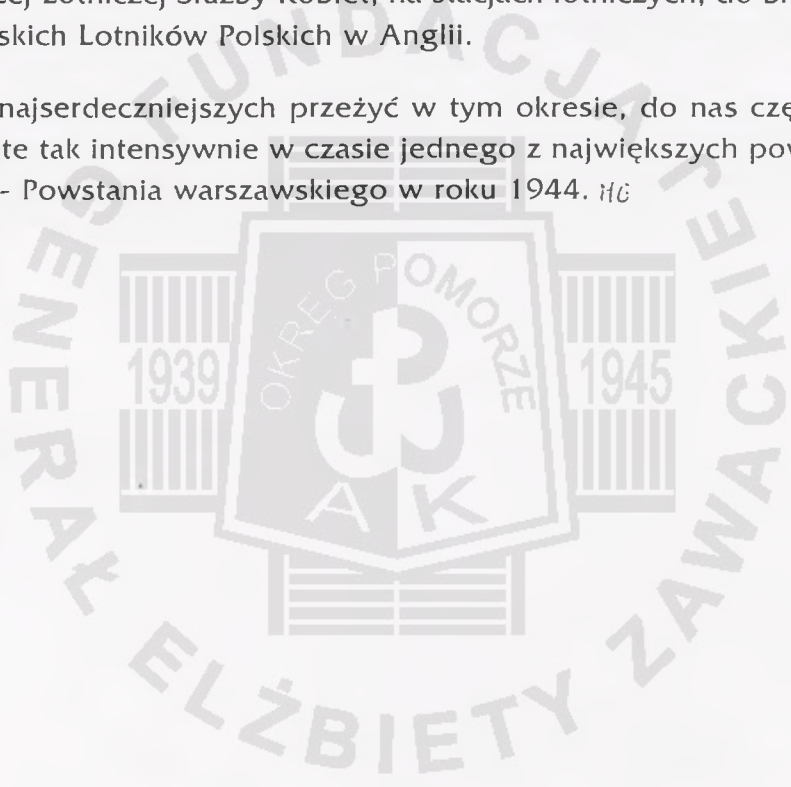
Następne dni i tygodnie zmagania, to nasze punkty oporu na Złotej vis a vis Dworca Towarowego, postój na Sienkiewicza, gdzie znowu nas bombardowano i znowu zginęła część naszej 42. W przejściu ze Złotej przez Śliską do Marszałkowskiej zostałam ranna w twarz. Strach padł na nasz oddział. Gdy byłam ranna, to nawet nie było wody do przeplukania strzaskanej szczęki i wybitych zębów. Sanitariuszka paluszkami wyciągała mi pokruszone zęby, a usta popłukałam dwoma łyżkami kawy, którą podała mi jakaś staruszka w piwnicy. Byłam oszołomiona nie wiedziałam kto co do mnie mówi. Szumiało mi w głowie i biły dzwony we wszystkich kościołach świata. Obok mnie leżała martwa łączniczka, która padła ofiarą tego samego granatnika. Przez 2 tygodnie chodziła z zawiązaną głową, zapuchniętymi oczyma i piłam jedynie wodę przez słomkę wyciągniętą z siennika. Nasz doktor „Góral” chciał mnie nawet zoperować, zaszyć twarz i pousuwać pogruchothane zęby, ale ja tego nie chciałam. Kawa staruszki okazała się wodą święconą, gdyż twarz szybko zaczęła mi się goić. Wtedy też poszłam odwiedzić Rodziców. Po upadku Starego Miasta całe nasilenie ataków poszło na Żoliborz, Śródmieście, a potem Czerniaków i Mokotów. Następne 4 tygodnie to walka pozycyjna. Na drugiej stronie Wisły stały świetnie wyposażone szeregi armii sowieckiej, które ze spokojem patrzyły na nasze zmagania i na agonię bohaterskiego miasta. I to mieli być bracia Słowianie. Niech mi nikt nie mówi, że oni chcieli dobrze dla Polski.

Przeżywaliśmy chwile uniesienia na widok nadlatujących samolotów, wiedzieliśmy z radia, że to są nasi lotnicy, że oni przelatują tysiące mil nad Niemcami, ażeby nieść pomoc Walczącej Stolicy. Oni ginęli z nadzieją w sercu, że będzie kiedyś Polska Wolna i że ich ofiara nie pójdzie na marne, tak, jak nie pójdzie na marne ofiara tysięcy obrońców Warszawy. Raz przyszedł do nas Wódz Naczelny gen. broni Tadeusz Komorowski. Staliśmy wtedy na ulicy Widok I. Pozycja nasza była wystawiona na obstrzał BGK. General przeszedł wszystkie stanowiska, które stałe były pod obstrzałem niemieckim.

Przyszedł dzień kapitulacji! Przyszedł dzień złożenia broni! O Warszawo ukochana, każdy pędz twojej ziemi zroszony krwią Twoich obrońców - Żołnierzy Starego Miasta, Żoliborza, Czerniakowa i Mokotowa. Zamilkły chorały z Londynu. Zamilkła broń powstańcza, a w powietrzu słychać było tylko szloch matek, żon i sióstr. Pod niebo szła modlitwa za poległych, za Warszawę, za Polskę! Poszliśmy do niewoli, w obozach jenieckich Lamsdorf, Mühlberg nad Elbą, Oberlangen, Niederlangen.

Po uwolnieniu nas przez I Dywizję Pancerną gen. Maczka, 86 z nas poszło do Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet, na stacjach lotniczych, do biur do służby obok Bohaterskich Lotników Polskich w Anglii.

Pomimo najserdeczniejszych przeżyć w tym okresie, do nas często wracały chwile przeżyte tak intensywnie w czasie jednego z największych powstań Narodu Polskiego - Powstania warszawskiego w roku 1944. *HC*



GWIĄZDÓW - BRODEKA Maria Zofia

4020 / WSK

